

Zbigniew Zieliński

O polskości wśród Niemców – dwa przykłady

Niepodległość i Pamięć 14/1 (25), 131-146

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zbigniew Zieliński
Warszawa

O polskości wśród Niemców – dwa przykłady

Większość Niemców zamieszkałych na terenie Polski w latach poprzedzających wybuch II wojny światowej, to w 90% ewangelicy. Zwłaszcza dotyczyło to terenów Śląska, Wielkopolski i Pomorza oraz miast: Warszawy, Łodzi, Pabianic, Tomaszowa Maz. Na przestrzeni wieków na skutek częstych wojen (i innych przyczyn – demograficznych i gospodarczych) ludność krajów niemieckich przemieszczała się na ziemie polskie. Od przełomu XVIII i XIX w. pojawiły się też znaczne możliwości budowy przemysłu – głównie włókienniczego, metalowego i kopalnictwa. Polska – mimo niewoli – stała się też terenem atrakcyjnym dla firm handlowych, a przede wszystkim bankowych. Z zakładów przemysłowych zlokalizowanych na terenie Polski łatwiej było eksportować na bardzo chłonny rynek wschodni.

Z biegiem czasu ci osiedleńcy dobrze zadomowili się na tej ziemi, a nawet ją pokochali, mimo że często spotykały ich ze strony polskiej przykrości a niekiedy prześladowania.

Świadectwem przywiązania rodów pochodzenia niemieckiego do Polski i narodu polskiego, jest np. wypowiedź znanego i powszechnie szanowanego przed II wojną światową księdza biskupa Juliusza Burschego z Kościoła ewangelicko-augsburskiego w II Rzeczypospolitej. Oto fragment jego przemówienia:

„My, Polscy ewangelicy, którzy jesteśmy integralną częścią Narodu Polskiego, którzy z nim żyjemy i z nim czujemy – nas nie potrzeba nawet wzywać, abyśmy w dziejowej tej chwili złożyli ofiarę mienia i krwi na ołtarzu dobra Ojczyzny. Żadne ofiary nie będą nam stąd wielkie, aby dać odpór mocy, która uragać śmie majestatowi Rzeczypospolitej”.

Miało to miejsce w 1938 roku. W następnym roku, kiedy Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę wielu Polaków pochodzenia niemieckiego przypłaciło życiem za odmowę podpisania volkslisty czy reichslisty. Jednym z pierwszych, który stracił życie z rąk gestapo był wielki polski patriota ks. biskup Juliusz Bursche.

Na przestrzeni wieków oba narody sąsiadujące ze sobą, tj. Polacy i Niemcy nie mogli (a często nie chcieli) wyciągać wniosków, że raz na zawsze trzeba skończyć z wzajemną wrogością a budować przyjaźń na zasadach dobrego są-

siedztwa, zaś granice nie powinny dzielić a łączyć oba duże narody w środkowej Europie. Tego wymagała i wymaga nasza racja stanu.

Niestety, po kolejnych wojnach pokój trwał krótko. Po stronie niemieckiej zapanował faszyzm, który postawił sobie za cel podbój i bezwzględne podporządkowanie się pokonanych narodów. Na przestrzeni wieków Prusacy, a następnie Niemcy i Austriacy, nigdy nie zdawali sobie sprawy, że te wojny w ostatecznym bilansie przynoszą ogromne straty ludzkie i materialne oraz zniszczenie dóbr kultury narodowej.

Żeby budować przyszłość sięgnijmy do przeszłości sprzed 67 lat, kiedy Niemcy hitlerowskie zawierając z bolszewikami pakt Ribbentrop-Mołotow – napadli na nasz kraj, dokonując kolejnego rozbioru Polski.

Ciekawym zjawiskiem w tym okresie był wyraźny podział zapatrywań Niemców w stosunku do Polaków.

Jedni, tzw. „koloniści” o średniej zamożności rolnicy, rzemieślnicy i kupcy wybrali służalczość wobec Hitlera i wrogość do Polski. Mieliśmy tego przykład w działaniach tzw. V Kolumny, mających na celu wywiad i sabotaż oraz paraliżowanie przemieszczania się wojsk polskich. Np. w rejonie Bydgoszczy, Piotrkowa i wielu innych miejscowości, zwłaszcza ze strony kolonistów niemieckich zamieszkałych w tzw. „koloniach wiejskich”. To oni strzelali do wycofujących się polskich żołnierzy, to oni wywieszali hitlerowskie flagi, donosili do gestapo i okradali polską ludność, zajmując ich posiadłości.

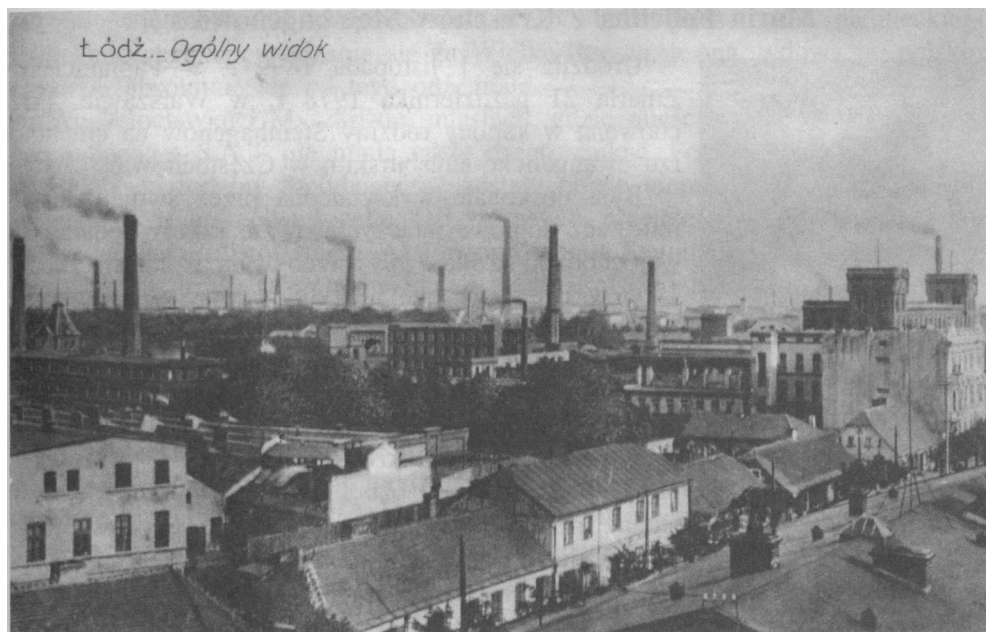
Natomiast wielcy przemysłowcy, bankierzy właściciele dużych majątków ziemskich – w większości odmawiali podpisania tzw. volkslisty czy reichslisty. W tym wypadku byli oni gorzej traktowani przez hitlerowców, niż ich wrogowie – Polacy.

Przykładem tego mogą być przedwojenni potentaci przemysłowi w Łodzi, Pabianicach, Katowicach, Myszkowie, Włocławku czy w Warszawie, którym wszystko zabrano, a wielu zamordowano w katowniach gestapo, głównie w Berlinie.

Do takich rodów – z pochodzenia Niemców-ewangelików – należeli Gayerowie, Steinhagenowie, Haberbuschowie, Bunschowie, Gebethnerowie, Kruschowie, Lothowie, Richterowie, Rydigerowie, Bartke, Wendowie, Weiglowie, Jurgowie, Braiterowie, Schillerowie, Pfeiferowie, Kronenbergowie i inni.

Byli to nie tylko przemysłowcy i bankierzy, ale ludzie wysokiej kultury – naukowcy, wojskowi i działacze społeczni.

Nie sposób tu pominąć wspinających bohaterskich dowódców Wojska Polskiego, jak admirał Unrug – bohaterski obrońca wybrzeża i dowódca Marynarki Wojennej, generał Tommé, obrońca twierdzy Modlin, gen. Schyling uczestnik walk na Podhalu, gen. Neugebauer – obrońca Lwowa, gen. Abraham – obrońca Lwowa w roku 1920 i dowódca brygady kawalerii w bitwie nad Bzurą, gen. Kleeberg – dowódca samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie”, zastąpił w walkach przeciwko Armii Czerwonej 17-25 września 1939 r. i zwycięskiej bitwie z Niemcami pod Kockiem 2 października 1939 r., gen. broni Władysław Anders dowódca brygady kawalerii w 1939 r., a następnie dowódca



Fabryczny pejzaż Łodzi, przed 1939 r. (fot. ze zbiorów Muzeum Niepodległości)

II Polskiego Korpusu w bitwie pod Monte Cassino, Ankoną i Bolonią. Wśród nich było dużo oficerów i żołnierzy pochodzenia niemieckiego – zwłaszcza ze Śląska, Wielkopolski i Pomorza.

Po wojnie generał broni Władysław Anders na zjeździe polskich ewangelików pochodzenia niemieckiego w Wielkiej Brytanii 1 listopada 1953 r. tak ujął to w swoim przemówieniu:

„(...) ewangelicy dali dowody najgłębszego umiłowania Ojczyzny. Wielu z nich przypłaciło to bohaterską śmiercią z rąk wroga. Ten sam duch nieugiętej miłości polskiej prowadził polskich żołnierzy ewangelików przez wszystkie pola bitew okrywając chwałą żołnierską (...).”

Na terenie okupowanego kraju wielu Polaków pochodzenia niemieckiego chwyciło za broń – bo Polska stała się ich Ojczyzną. Dla przykładu: dwie postacie – kobiety Krystyna Richter i Maria Felicitas Steinhagenowa.

Maria Felicitas z Kruschów Steinhagenowa



Urodziła się 1 listopada 1899 r. w Pabianicach. Zmarła 21 października 1978 r. w Warszawie. Pochowana w kaplicy rodziny Steinhagenów na cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Częstochowie.

Była doskonale wykształcona przez swoje znakomite, acz domowe nauczycielki. Do szkoły podstawowej chodziła krótko, gdy przebywała w latach 1905-1906 w Dreźnie u babki Otylii, wdowy po Hermanie Krusche. Podczas I wojny światowej Maria Felicitas była na pensji w Wiedniu. Po wojnie skończyła pensję w Chyliczkach, gdzie przygotowywano dziewczyny do prowadzenia domu. Uczyła się malować, śpiewać, haftować, ale także gotować, robić przetwory, pielęgnować rośliny ozdobne w ogrodzie. Uczono jednak przede wszystkim znajomości języków, których – poza polskim – znała biegle trzy. Po ukończeniu „chyliczek” pracowała jako wolontariuszka w YMCE w Warszawie będąc sekretarką dyrektora – Anglika, szlifując swoją znajomość języka angielskiego.

21 września 1923 r. wzięła ślub ze Stefanem Steinhagenem, przemysłowcem – papiernikiem. Jej mąż miał za sobą chwalebny przeszłość oficerską z czasów I wojny światowej i służby w I Korpusie Polskim (1917-1918) pod dowództwem gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego.

Po powrocie do Polski został odkomenderowany z innymi oficerami 3. pułku ułanów do formowania pułków ochotniczych. Planowane formowanie pułku jazdy tatarskiej zostało jednak odwołane i oficerowie musieli wracać na front. Jak pisze o tym płk dypl. dr Stanisław Rostworowski: „Wówczas jeden z nich, pracujący w sztabie sekcji jazdy, porucznik Stefan Steinhagen, poddał myśl stworzenia na kadrach szwadronu zapasowego 3 pułku ułanów – pułku ochotniczego”. Projekt zaaprobował szef sekcji jazdy gen. Bieliński. Na dowódcę uformowanego w Kaliszu 28 lipca 1920 r. 203. ochotniczego pułku ułanów wyznaczył rtm. Zakrzewskiego. Stefan Steinhagen służbę wojskową zakończył w stopniu rotmistrza. 14 września 1939 r. jako oficer rezerwy, został powołany na stanowisko szefa Wydziału Intendentury Ogólnej Straży Obywatelskiej Warszawy przy urzędzie miasta. Straż Obywatelska pod wodzą Janusza Regulskiego, tak jak inne liczne organizacje cywilnej obrony Warszawy, miała na celu prowadzenie akcji na odcinku aprowizacyjnym, sanitarnym, opiekę nad uchodźcami, pogorzelcami, sierotami, rozbitkami i żołnierzami oraz zabezpieczenie mienia ludności. Zginął podczas pełnienia obowiązków 26 września 1939 r. od bomby niemieckiej, zasypany gruzami.

Po śmierci męża Maria Felicitas przewiozła sześcioro dzieci swoich i siostry Elżbiety z Kruschów Steinhagenowej do matki, do Pabianic. Cała rodzina była tam do Bożego Narodzenia. Stąd Maria Felicitas z dziećmi wyjechała za-

raz po świętach, gdyż okupanci zażądali od ludzi pochodzenia niemieckiego jednoznacznego opowiedzenia się za Wielką Rzeszą, a ona, wdowa po polskim oficerze, absolutnie się od tego odzegnała.

We Włocławku i Myszkowie, miastach, gdzie mieściły się fabryki „Steinhagen i Saenger S.A.”, nie miała także czego szukać. Po wybuchu wojny wszystkie fabryki rodziny Steinhagenów zostały objęte niemieckim zarządem komisyjnym Haupttreuhandsstelle Ost, a potem przejęte przez Weichselmuhlen Papier – und Zellstoffwerke Aktiengesellschaft. Steinhagenowie zostali wyeliminowani z firmy, gdyż opowiedzieli się za Polską i nikt z nich nie podpisał volkslisty.

Wyruszyła więc z dziećmi do majątku ziemskiego Cieletniki k. Radomska, położonego w Generalnym Gubernatorstwie.

Była po śmierci męża właścicielką majątku. Dama o dostojnej postawie radziła sobie dobrze z zarządzaniem w trudnej wojennej sytuacji. Ku pamięci swojego nieżyjącego męża chodziła przez całą wojnę w żałobie. Jej główne cechy, to inteligencja połączona ze specyficznym poczuciem humoru.

Czas wojny spędzony w Cieletnikach ujawnił jej niezwykłą szlachetność, odwagę i troskę o losy ludzi, którzy potrzebowali pomocy. Majątek Cieletniki stał się bazą AK i miejscem schronienia przesiedleńców z Poznańskiego i Warszawy. W zabudowaniach dworskich urządzono magazyn broni i szpitalik dla potrzeb partyzantów. Z jej inicjatywy, w bocznym pomieszczeniu oranżerii, powstał punkt opatrunkowy dla partyzantów, w którym obsługiwano rannych z lasu niezależnie od tego, do jakiej organizacji należeli. Udzielała również pomocy miejscowym chłopom, których dzieci były w partyzantce.

Maria Felicitas, tak jak większość ziemian regionu radomszczańskiego, należała do organizacji „Uprawa”, w której jej starszy syn Bogdan był kwestorem. Organizacja ta zaopatrywała partyzantów i członków rodzin biednych chłopów z rodzin żołnierzy, którzy służyli w organizacjach konspiracyjnych AK, NSZ i BCh w żywność, odzież, środki sanitarne i konie. Synowie Marii Felicitas, Bogdan i Lucjan, oraz cała starszyzna domowników należeli do Armii Krajowej.

Pod koniec wojny Niemcy urządzili w lasach majątku Cieletniki pacyfikację. Rano, 8 lub 9 października 1944 r. nad lasami cieletnikowskimi krążyły dwa samoloty zwiadowcze, nazywane „bocianami”. Potem namierzyły cel i rzuciły zapalające bomby na partyzancką bazę-leśniczówkę Brzozówki. Z okien cieletnickiego dworu długo było widać słupy ognia i dym ciągnący się nad lasem. Na ganku siedziała starszyzna przybyłych oddziałów niemieckich, był tam także generał. Cała zgromadzona w dworze rodzina stała z podniesionymi rękami do późnego wieczora na klombie przed domem.

Maria Felicitas zabiegała o ich bezpieczeństwo, tłumacząc, że to przesiedleńcy z Warszawy. Sytuacja jednak była groźna. Aresztowani warszawiacy trzymani byli jako zakładnicy. Do nich doprowadzono grupę chłopów z rękami związanymi na plecach, a także inż. leśnika Aleksandra Zielińskiego i jego gajowych. Niemcy zapowiedzieli, że jeżeli któremuś z ich żołnierzy w czasie ob-

ławy coś się stanie, to zakładnicy zbiorowo odpowiedzą głowami. Nagle przed ganek zajęczała ciężarówka i żołnierze niemieccy wynieśli z niej nieżywego Niemca, zawiniętego w okrwawiony koc. Powiało grozą. Na szczęście okazało się, że zginął rozerwany własnym granatem. Zwłoki niemieckiego żołnierza leżały potem do wieczora przed domem.

W czasie pacyfikacji w oranżerii ukryci byli od poprzedniej nocy ranni sowieccy piloci. Przywieźli ich partyzanci. Najciężej ranny przeleżał całą obławę pod słomianymi matami i zgniłymi łodygami pomidorów, dwóch lżej rannych schowały we wsi miejscowe dziewczęta. Gdyby Niemcy ich wtedy odkryli, rozstrzelaliby zakładników i na pewno właścicielkę majątku.

Zbliżał się koniec wojny. Front przeszedł. Majątek znalazł się na terenie wyzwolonym. O tym, że będą parcelować majątki było już głośno. Powoli, wyposażeni przez Marię Felicitas w odzież, pościel, żywność i spirytus ze starych zapasów, opuszczali Cielętniki goście z Warszawy i Poznańskiego. Wreszcie i rodzina dostała rozkaz od nowych władz, aby natychmiast opuścić majątek. Pracownicy majątku żegnali właścicielkę pełni żalu, niedowierzania i lęku. Ich więź oraz zaufanie do dworu pogłębiły się w trudnych czasach wojny, gdyż stanowił dla nich oparcie i często obronę przed okupantem a ona znajdowała dla wszystkich przyjazne słowo, radę a także pomoc i opiekę. Teraz przychodziły nowe czasy.

Sprzed domu wyruszyła konna platforma załadowana meblami. Parcelujący Cielętniki obywatel Cebo, powiatowy partyjny dygnitarz nowych czasów, pozwolił zabrać po jednym łóżku i krześle na osobę, ponadto szafę, stół i komodę – jedną na całą rodzinę (resztę – w tym dzieła sztuki – rozszabrowano). Maria Felicitas ściśle się do tego zastosowała. Mawiała zawsze, że w sytuacjach, gdy występuje zagrożenie życia, trzeba odejść tak, jak się stoi, nie zważając na dobra materialne.

Dalsze losy rodziny, majątnych ziemian i przemysłowców zmieniły się radykalnie. Po wojnie Maria Felicitas została niemalże bez środków do życia. II wojna światowa, pozbawiła ją męża. Przemiany ustrojowe, pozbawiając dóbr materialnych uczyniły z niej samotną, zubożałą kobietę, z trudem utrzymującą siebie i dzieci.

Po dramatycznym rozstaniu z Cielętnikami dotarła z dziećmi do Myszkowa. Tam zatrzymała się w przedwojennym domu siostry, Elżbiety z Kruschów Steinhagenowej, który opuścił niemiecki dygnitarz zarządzający w czasie wojny Fabryką Papieru i Celulozy SA „Steinhagen i Saenger SA”. Dom był, oczywiście, mocno ograbiony. Zachowało się jednak trochę mebli i fortepian. Siostry urządziły się w nim w miarę wygodnie. Niestety, już po paru miesiącach uznano Steinhagenów za persona non grata i rodzina wyruszyła w dalszą drogę w poszukiwaniu miejsca zamieszkania.

Dwie samotne kobiety z szóstką dzieci dotarły do Pabianic, gdzie się urodziły i wychowały. Tam nowe władze przydzieliły im mieszkanie na drugim piętrze w domu przy ulicy Zamkowej 7.

Pobyt w Pabianicach niespodziewanie zakończył się w grudniu 1950 r. Do mieszkania wtargnęli milicjanci i tajniacy z UB. Zaczęła się rewizja. Ubrania, stare zdjęcia, dokumenty wyrzucono na podłogę, pocięto obicia mebli, podsze-
wki walizek i kufrów. Nagle jeden z milicjantów wyciągnął, jak królika z ka-
pelusza, z teatralnej torebki leżącej na dnie jakiejś zapomnianej walizki pięć-
dziesiąt dolarów. Zostały one przez rewidujących podrzucone. Był to pretekst
do wyeksmitowania rodziny z Pabianic. Marię Felicitas aresztowano. Jej syn,
Bogdan, był żołnierz AK, musiał pożegnać się ze studiami w Łodzi, mimo
że do absolutorium zostało mu tylko parę egzaminów i musiał ukryć się u kolegi
z partyzantki Heńka Wójcikowskiego w Miliczu k. Wrocławia. Drugi syn, Lu-
cjan, studiował, mieszkał i pracował w Łodzi, ale wkrótce musiał się także
pożegnać z pracą i studiami.

Następnego dnia rewizja się powtórzyła. Rodzinie polecono w ciągu dwóch
tygodni wynieść się z Pabianic. Nie poinformowano ich, w którym więzieniu
przetrzymywana jest ich matka. Nieudzielanie rodzinom informacji o miejscu
przetrzymywania więźniów było jedną z perfidnych metod znęcania się nad
„wrogami ustroju”. Później okazało się, że była w więzieniu łódzkim, a osa-
dzono ją w jednej celi z prostytutkami. Jak opowiadała, były dla niej bardzo
miłe, wyręczały ją nawet w brudnych robotach, a ona w zamian uczyła je
francuskiego. Siedziała ok. pół roku. Stosowano wobec niej okrutne metody
śledztwa. Przy wymiarze kary prokuratura wzięła pod uwagę jako okoliczność
obciążającą stopień szkodliwości społecznej popełnionego czynu, działanie na
szkodę interesu publicznego, duże nasilenie złej woli, „zdążające do torpedo-
wania uchwał Polski Ludowej” (jest to dosłowny cytat z aktu oskarżenia).

Po więzieniu w Łodzi i mieszkaniu w jednym pokoiku bez wygod w Ko-
byłce k. Warszawy udało się jej sprzedać dom w Warszawie przy ul. Chocim-
skiej za żalosną cenę 100 000 zł powojennych. Za dom ten przed wojną za-
płaciła 867 000 zł (wg. przelicznika złotego z 1939 r.).

W Warszawie i jej okolicach żadnego, nawet najskromniejszego lokum za
te pieniądze nie można było kupić. Udało się jej nabyć stary góralski domek
z drewnianych płazów w Poroninie.

Przy tej okazji wygłosiła jedynie krótki komentarz: „popatrzcie, tak się cie-
szymy z Poronina, a przecież nasze rodzinne firmy „Krusche i Ender” w Pa-
bianicach oraz „Steinhagen i Saenger” w Myszkowie, Pabianicach i Włocławku
budowały długoletnim robotnikom znacznie lepiej wyposażone domy. Bo też
nasza nowa siedziba miała tylko jeden pokój z piecem kaflowym, kuchnię wę-
głową w przedpokoju, zaś studnię i „Sławojkę”, na podwórku”.

Dalszy okres, to Maria Felicitas w Poroninie, siedząca w fotelu, układająca
pasjansę lub robiąca sweterki na drutach wnukom. Nie buntowała się, że czę-
sto brakuje jej pieniędzy na podstawowe potrzeby. Nikogo nie oskarżała, a fo-
tel opuszczała tylko wtedy, gdy zmuszała ją do tego życiowa konieczność.
Otaczała ją cisza i spokój.

Ożywiała się, gdy do Poronina zjeżdżali goście. Miała ich wielu, gdyż dom w Poroninie był ciepłym miejscem wytchnienia dla całej rodziny i przyjaciół, a ona była niezwykle gościnna i serdeczna.

Tak więc w Poroninie znalazła rodzinny dom, swoje ostatnie miejsce na ziemi.

Do dziś byli fornale z Cielętnik i miejscowi chłopci z uznaniem wspominają byłą dziedziczkę.

Chociaż z pochodzenia była Niemką, okazała się polską patriotką. Prześladowana była zarówno przez hitlerowskich faszystów, jak i stalinowskich oprawców.

Jej dwór stał na „beczce prochu”. Tu rodziła się konspiracja i tajne kursy nauczania. Była przygotowana na najgorsze. W lasach majątku Cielętniki znajdowały się bunkry leśne (schrony) a leśniczówka Brzozówki stała się słynną „bazą leśnych ludzi”, głównie żołnierzy 74 pułku AK.

Dziś obok dawnego majątku na ścianie miejscowego zabytkowego kościoła znajduje się pamiątkowa tablica, ufundowana przez miejscową ludność i kombatanów „W hołdzie żołnierzom 7 Dywizji Armii Krajowej...”.

Krystyna Richter



Rodowita warszawianka nie wyobrażała sobie, że kiedyś będzie musiała opuścić swoje rodzinne miasto. W Warszawie wzrastał się terror okupacyjny: uliczne łapanki, masowe aresztowania, egzekucje. Odpowiadała na nie zbrojnie ruch konspiracyjny, a młodzieży nie trzeba było zachęcać do wstępowania w szeregi podziemnej armii. Wśród innych młodych ludzi do konspiracji trafiła Krystyna.

Chciała walczyć i pomścić śmierć swego ojca Edwarda Richtera, który będąc przed wojną przemysłowcem, a jednocześnie oficerem rezerwy Wojska Polskiego, walczył w obronie Warszawy w 1939 r. Po wkroczeniu okupantów, mimo że był z pochodzenia Niemcem, stanowczo odmówił podpisania tzw. volkslisty, podkreślając swoje przywiązanie do ziemi, na której się urodził. Powiedział otwarcie Niemcom, że zrobili krzywdę narodowi polskiemu we wrześniu 1939 r. Zapłacił za to aresztowaniem, a następnie został zamordowany w więzieniu gestapo w Berlinie.

Krystyna została zaprzysiężona w 1943 r. przez por. „Klarę”, „Smotrycza” (Stanisława Wierzyńskiego, brata stryjecznego poety Kazimierza) i ppor. „Bielawę” (Zdzisława Sadowskiego) – przyjmując pseudonim „Krys”. Pracę w konspiracji wyobrażała sobie na sposób romantyczny, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa grożącego jej i otoczeniu. Przypuszczała, że po przeszkoleniu bojowym stanie się żołnierzem-powstańcem. W jej mniemaniu takie powstanie będzie kiedyś przeprowadzone na wzór powstania listopadowego czy styczniowego.

wego – z tym, że będzie w pełni udane oraz wsparte przez naszych sojuszników.

Por. „Klara” znał dobrze rodzinę Krysi, która prowadziła zakład poligraficzny, tak potrzebny konspiracji; drukowano w nim różne dokumenty, zaświadczenia, ulotki, itp. Por. „Klara”, „Smotrycz”, z zawodu magister prawa, pracował w komórce Kedywu AK oraz jako oficer personalny Komendy „Wachlarza”. Krysię cenił wysoko jako sprytną i zaradną osobę, która swoim dziewczęcym wyglądem i stałym uśmiechem na twarzy nie mogła wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń okupantów.

Kiedyś w czasie łapanki żandarmi wylegitymowali ją. Miała przy sobie tzw. kenkartę. Żandarm popatrzył w dokument i uśmiechnął się mówiąc „Frau Richter”? „Das ist Deutsche Name. Mein Onkel hat dadselbe Name” (to jest niemieckie nazwisko, mój wujek ma takie samo). Poklepał ją po ramieniu i odszedł. Krysia nabrała pewności, że z takim nazwiskiem będzie jej łatwiej działać w konspiracji.

Groźniejsze spotkanie z żandarmami było na ul. Marszałkowskiej, w pobliżu pl. Zbawiciela. Znow łapanka i rewizje. „Krys” trzyma w ręku koszyk, a w nim osobiste rzeczy. Natomiast w drugiej ręce ma małą paczuszkę zawiniętą w chusteczkę do nosa. Sprytnie stawia koszyk na chodniku i zgodnie z poleceniem podnosi ręce do góry. Teraz serce ma w gardle – bo co będzie jak jej każą pokazać paczuszkę, którą trzyma w dłoni? Tymczasem Niemcy przeszukują koszyczek, w którym nic podejrzanego nie znajdują. Na rogu ulicy, w bramie, stoi jej kolega – „Bielawa” i obserwuje tę scenę. Wie, że „Krys” niesie ważne dokumenty konspiracyjne. Po chwili dziewczyna podnosi swój koszyczek i idzie dalej. „Bielawa” dogania „Krys” – są szczęśliwi, że się udało.

Wybuch Powstania Warszawskiego zastaje ją w drodze z ulicy Pańskiej na Chłodną. Pierwsze strzały usłyszała z bunkrów niemieckich na rogu ul. Żelaznej i Chłodnej (posterunek żandarmerii). Pod silnym ostrzałem przebiegła na ulicę Ogrodową, gdzie znajdował się punkt kontaktowy. Tam spotkała „Bielawę” i „Ryśka” i udała się z nimi w kierunku Starego Miasta.

Straciwszy kontakt ze swoim przełożonym, por. „Klarą”, przyłączyła się „Krys” do oddziałów zgrupowania płk. „Radosława” (Jana Mazurkiewicza), gdzie była łączniczką i sanitariuszką. W czasie bombardowania została częściowo zasypana gruzami w piwnicach dawnej firmy Fukiera, ale dzięki pomocy kolegów udało się jej stamtąd wydostać. Zakurzona, w podartej panterce – mimo odniesionych ran zameldowała się komendantowi Radosławowi, który uznał ją już za poległą. Kiedy zobaczył, że jest cała, z radością ją ucałował. Zobaczyła, że obok komendanta stoi jej poprzedni przełożony z Komendy Głównej Kedywu por. „Klara” – „Smotrycz” – przywitani się bardzo serdecznie. „Krys” wyraziła gotowość do dalszej walki. Otrzymała awans na stopień sierżanta w sztabie „Radosława” – do pomocy w utrzymywaniu kontaktu z walczącymi dano jej dwie młodsze koleżanki i kolegę, który wkrótce poległ w czasie strzelaniny na ulicy Bonifraterskiej.

Sierżant „Krys” otrzymała pistolet typu „Walter” i, niestety, tylko jeden magazynek amunicji. Do jej dyspozycji przydzielono siedmiu chłopaków (powstańców), z których jeden był uzbrojony w karabin bez amunicji, drugi w dwa granaty. Niestety, pięciu pozostałych nie miało broni – liczyli, że coś zdobędą na Niemcach. Na barykadzie w poprzek ul. Długiej obok pl. Krasińskich zmieniła poprzednią obsadę do kresu sił wyczerpanej załogi.

Nagle na łuku ulicy Długiej ukazali się Niemcy. Chłopcy krzyknęli: „Pani sierżant, ognia do nich”. „Krys” odpowiedziała: „Chłopcy widzę, że nigdy nie mieliście broni w rękę i nie wachaliście prochu”, „przecież na odległość ok. 200 metrów to tylko nastawiają czapki i będą zbierać na pamiątkę kulki powstańców. Jak się zbliżą na 50 metrów, to ja im pokażę skuteczność naszego strzelania”.

Niemcy przeskakiwali od bramy do bramy zbliżając się na ok. 40 metrów przed barykadę. Wtedy „Krys” wolno wycelowwała – strzał jeden, drugi i kolejne. Przy bramie sąsiedniego domu wyraźnie było widać przewracających się Niemców. Jednak nie była pewna, czy są zabici czy tylko ranni. Chłopcy w kierunku Niemców rzucili dwa ostatnie granaty.

Na szczęście po stronie powstańców nastąpiło wzmocnienie obrony barykady.

Po miesiącu walk trzeba było opuścić Stare Miasto i przejść kanałami do Śródmieścia. „Krys” była krańcowo wyczerpana. Na pl. Krasińskich ostatni powstańcy wchodzili do włazów kanalizacyjnych. „Krys” za wszelką cenę chciała przedostać się kanałami do Śródmieścia, ale oficer nadzorujący wejście do włazu zobaczył na jej nodze bandaż, przez który przeciekała krew. Powiedział: „ty jesteś ranna, nie możesz wchodzić do kanału, bo opatrunek zsunie się z nogi i możesz dostać zakażenia – idź na ulicę Długą, tam jest jeszcze szpital polowy”. „Krys” ze łzami w oczach żegnała swoich kolegów, z którymi spędziła tyle ciężkich dni na Starówce. Został z nią również ranny „Rysiek”. Esesmani i Ukraińcy (własowcy) zbliżali się już od ul. Miodowej i Długiej. Słysząc było krzyki i jęki mordowanej bezbronnej ludności oraz dobijających rannych żołnierzy w pobliskim szpitalu polowym. „Rysiek” złapał „Krys” za rękę mówiąc: „Może któreś z nas przeżyje, żebyś wiedziała, mam przy sobie paczkę ważnych dokumentów”. Schowali je w gruzach posesji nr 5 przy ul. Kapucyńskiej. W czasie strzelaniny straciła kontakt z „Ryskiem”.

Krysię wraz z tłumem ludzi popędzono przez pl. Teatralny i Senatorską, w kierunku Woli. Przeszła przez obóz w Pruszkowie. Razem z grupą młodszych, została załadowana do wagonów bydłych. Żegnała się z ukochanym miastem, którego łuny jeszcze widziała na niebie.

Załadowany ludźmi pociąg towarowy ruszył w kierunku południowym. Minęli Koluszki, Piotrków, Radomsko. Przypuszczali, że skoro ich wiozą na południe okupowanego kraju – to na pewno do obozu w Oświęcimiu – a tam wiadomo, że nikt nie przeżyje. Niektórzy pocieszali: „może wywiozą nas na roboty do południowych Niemiec, np. do Bawarii”.

W czasie jazdy nie dostawali jedzenia ani picia. Z pragnienia zasychało im w gardle. W pewnej chwili zatrzymali się. Przez szparę w drzwiach towarowego wagonu zobaczyli robotników kolejowych naprawiających tory. Zapytali, jaka to miejscowość i usłyszeli w odpowiedzi: „koło stacji Wyczerpy”. Obok wagonu, którym ich wieziono, przejeżdżała wolno sąsiednim torem ręczna dreżyna z polskimi kolejarzami. Kiedy dowiedzieli się, że jest to transport z Powstania Warszawskiego, rozejrzeli się na boki i widząc zajętych rozmową niemieckich konwojentów krzyknęli: „Skacz dziewczyno na dreżynę”. Pociąg ruszył. W ostatniej chwili niemieccy konwojenci zauważyli uciekających z transportu. Zaczęli strzelać, ale na szczęście nikogo nie trafili.

Przy pomocy kolejarzy „Krys” dostała się do Włoszczowy, gdzie mieszkali jej kuzyni Gołębiowscy. Bolesława Gołębiowskiego prawie każdy tu znał, był w tym mieście lekarzem weterynarii. Rodzina początkowo nie poznała Krystyny. Była błąda, zmizerowana i obdarta. Po chwili radość i niekończące się opowiadania.

Bolesław Gołębiowski był oficerem AK w Obwodzie Włoszczowa. W jego domu znajdował się punkt kontaktowy 74. pułku AK. Przychodzili tam różni ludzie, często także chłopi z okolicznych wsi ze zwierzętami do badania. Mimo że dom państwa Gołębiowskich znajdował się na głównej ulicy (Kolejowej, obecnie Partyzantów), prowadzącej do Rynku, i to w pobliżu powiatowej komendy żandarmerii, w tłumie interesantów można było wiele rzeczy przemyśleć. Niemcy nie przypuszczali, że tuż pod bokiem mieli punkt ruchu konspiracyjnego.

Krysia mimo woli wtajemniczona została w nowy nurt życia. Konspiracja tutejsza wyglądała zupełnie inaczej niż w Warszawie przed powstaniem. Włączone w nią były całe rodziny. Wszyscy znali się z nazwisk.

Pierwsza połowa października 1944 r. była ciepła i słoneczna. Bolesław Gołębiowski zaproponował Krysi wyjazd w teren – pod pozorem obowiązków weterynaryjnych. Bryczką udali się do lasu w pobliże leśniczówki Pękowiec. Tam na polanie Krysia nie dowierzała własnym oczom. Toż to prawdziwe Wojsko Polskie. Obok namiotów z płótna spadochronowego żołnierze siedzieli na kłocach i czyścili broń. Dalej widać było unoszący się niebieski dymek – to prawdziwa wojskowa kuchnia polowa na kołach, a obok kucharze przyrządzili posiłek.

Opowiedziała właśnie żołnierzom swoje przeżycia z powstańczego piekła, kiedy padła komenda „bacność!” i „zbiórka!”. Poszczególne plutony odmaszerowały. Na polanie pozostał kpt. „Marcin”, Mieczysław Tarchalski – dowódca I batalionu 74. pułku AK i kilku żołnierzy. Pan Gołębiowski powiedział: „Komendancie! Mamy jeszcze jednego partyzanta w spódnicy – to moja kuzynka – uciekła z transportu po wywiezieniu z Warszawy”. „Marcin” zdjął okulary, przetarł je i zwracając się do Krysi mówi: „No tak, gdyby nie odwołano naszego marszu na odsiecz powstaniu – może byśmy się tam spotkali”.

Na odchodne kpt. „Marcin” zwrócił się do podwładnego: „Trzeba zaprzysiężyć ponownie tę dziewczynę i przyjąć na żołnierza 74 pułku AK”.

Wkrótce „Krys” była już łączniczką oddziału. Jeździła do Częstochowy, Maluszyna, Żytna i Radomska. Tam poznała wspaniałych żołnierzy.

W pierwszych dniach stycznia przez Włoszczowę przechodziły całe kolumny wojska niemieckiego, cofającego się z frontu.

17 stycznia 1945 r. na ulicach Włoszczowy zadudniło – pokazały się czołgi radzieckie. Gdzieś wybuchła strzelanina. Zapadła noc. Do domu państwa Gołębiowskich weszli żołnierze radzieccy. „Germańca tu niet” – pytali, zabierając do jedzenia co popadnie. Po chwili przyszli oficerowie, kazali wyjść żołnierzom i sami zostali na kwaterze. Pani Gołębiowska przygotowała kolację – oni wyciągnęli z tobołów wódkę. Zaczęła się rozmowa.

Domownikom wydawało się, że są to oficerowie NKWD, bo o wszystko się dopytywali. Jeden z nich spoglądał na Krysię. Pani Gołębiowska powiedziała, że to kuzynka z Warszawy przybyła tu po powstaniu. Oni na to do Krysi: „To ty buntowszczyk”, „zachciało się wam rozrabiać”. „A ty znajesz, kto to jest Bierut, Wasilewska, Osóbka-Morawski i Berling?”, Krysią odpowiedziała: „Nic nie wiem”. A oni: „Za to na pewno wiesz kto to Anders, „Bór”. – „Tak wiem” – odrzekła Krysią. „To ty buntowszczyk” – dodał ponownie oficer. Na to Krysią odparła: „Ty durak”.

W tym momencie jeden z nich poderwał się z miejsca w kierunku Krysi uciekającej do sąsiedniego pokoju. Oficer wyjął z kabury pistolet i oddał dwa strzały w jej kierunku, krzycząc: „Ty szpion”. Jedna kula trafiła w futrynę drzwi, druga w ścianę sąsiedniego pokoju tuż obok Krysi, której udało się wyskoczyć kuchennymi drzwiami na podwórze.

Było zimno i śnieżno, a ona tylko w cienkiej sukience i rannych pantoflach. Zaułkami dostała się do sąsiedniego domu. Tam Halina Gołębiowska dostarczyła jej ubranie.

Na drugi dzień rano gospodyni przyniosła wiadomość „Warszawa wolna”. A więc radość.

Krysią postanowiła wracać do stolicy, mając nadzieję, że jej rodzinny dom ocalał.

Droga z Włoszczowy do Warszawy (ok. 200 km) była tak uciążliwa i wyczerpująca, że chwilami dziewczyna załamywała się fizycznie i psychicznie. Jak na warunki zimowe – była lekko ubrana, a pożyczone buty stale przemakały. Spała w wiejskich chałupach. Była gościnnie przyjmowana, ale najgorzej było z noclegami. Któregoś dnia przenocowała w miejscu, gdzie przed nią spali zawszeni żołnierze radzieccy. Dowiedziała się o tym dopiero następnego dnia rano. Niestety, było za późno, bo wszy ją tak oblażyły, że nie mogła sobie z tym dać rady. Czasami korzystała z przygodnych furmanek podążających w kierunku Warszawy. Wreszcie serce jej zaczęło bić mocniej – zobaczyła swoje miasto, a właściwie nie miasto tylko zgłiszcza wypalonych budynków i stopy gruzów. Mimo tego straszego widoku była szczęśliwa, że skończyła się jej ciernista droga – z powstańczej Warszawy przez lasy włoszczo-wskie z powrotem do Warszawy.

Podobnych powrotów do Warszawy było tysiące – z tym, że dla wielu droga ta była dłuższa, wyboista i jeszcze bardziej ciernista.

Krysia zatrzymała się u znajomych na przedmieściach Warszawy. Ci ją poinformowali, że Niemcy i Ukraińcy (własowcy) po powstaniu niszczyli, to co ocalało. Odnalazła rodzinę Trzaskalskich, którzy w czasie okupacji mieszkali na Ochocie i byli właścicielami drukarni przy ul. Pańskiej 98. Po powstaniu część budynków tej posesji została wyburzona i spalona, również znaczna część maszyn drukarskich uległa zniszczeniu. Dowiedziała się, że jej matkę Niemcy wywieźli do obozu na terenie Rzeszy.

Z wielkim wysiłkiem kompletowano sprzęty, aby rozpocząć pracę. W tym czasie w Warszawie jeszcze nie było prądu – uruchomiono więc pierwsze urządzenie dociskowe (drukarskie) na pedały nożne. Zakład już w połowie maja 1945 r. został podłączony do prowizorycznej linii elektrycznej. Trzeba było ciężko pracować, aby zarobić chociaż na jedzenie.

„W 1946 roku przyjęliśmy zamówienie od PSL (Polskiego Stronnictwa Ludowego) pod kierownictwem przybyłego z Londynu Stanisława Mikołajczyka – wicepremiera w tzw. tymczasowym rządzie PRL. Zamówienie dotyczyło wydrukowania numerków wyborczych i ulotek przed zbliżającą się kampanią wyborczą” – pisała w swoich wspomnieniach Krystyna na łamach „Tygodnika Kulturalnego” 4 czerwca 1989 r. Oto fragmenty tego artykułu zatytułowanego „Przed bitwą wyborczą w 1947 r.”:

– „Było to w połowie grudnia 1946 roku. Późnym popołudniem, nagle i nieoczekiwanie, wszystkie wejścia na teren posesji i naszej drukarni zostały zablokowane. W obydwóch bramach od ulicy Pańskiej i Prostej stały samochody ciężarowe, z których wyskoczyło około trzydziestu mężczyzn uzbrojonych w pistolety, sprężyny i pałki. Padł okrzyk: „ręce do góry”. Na pytanie, kim są i co znaczy ta wizyta, usłyszałam odpowiedź, że lepiej będzie dla mnie, jak będę spokojna i grzeczna. Tego dnia współwłaściciele drukarni, braci Trzaskalskich, nie było na miejscu.

Zaczął się demolowanie lokalu i wywożenie wszystkiego, co dało się wynieść, a więc silników, drobniejszych maszyn i urządzeń, farby, papierów, gotowych druków. Pozostałe maszyny, których nie udało się szybko rozmontować – niszczone. Jednocześnie zabierano pracownikom i mnie rzeczy osobiste, nie mające nic wspólnego z prowadzeniem drukarni. Nawet pruto ściany, żeby zniszczyć instalację elektryczną.

Pracownik, który stanął w mojej obronie i miał odwagę powiedzieć, co o tym myśli – został wyprowadzony przez jednego z napastników na podwórze pod lufą rewolweru. Wybiegłam za nim, ale drugi z napastników przystawił mi pistolet do pleców, abym zamilkła. Był to młody człowiek w czapce Politechniki Warszawskiej, któremu powiedziałam wprost, żeby zdjął czapkę, bo profanuje wspaniałą uczelnię. Na mój krzyk wyjrzało kilka osób z okien na wprost wypalanej kamienicy. Pracownik Kazimierz Wilfart został ponownie wprowadzony do wnętrza drukarni. Jednej z pracownic wylano klej na głowę, niszcząc zupełnie włosy.

Po dokonaniu zniszczenia i wyniesieniu niektórych urządzeń, sprzęt załadowano na samochody, które odjechały w nieznanym kierunku. Ponieważ jeszcze w tym czasie ulice Warszawy nie były oświetlone, baliśmy się wyjść na zewnątrz, wiedząc co może nas czekać. Jednak w niedługim czasie nadjechał samochód PSL w celu odebrania zamówionych numerków do głosowania. To, co zobaczyli kierowca z konwojentem, przeraziło ich. Zabrali mnie do samochodu i zawieźli w Aleje Jeruzolimskie do siedziby PSL. Budynek Stronnictwa wyglądał podobnie jak nasza drukarnia. Obecny wtedy Czesław Wycech stał załamany i przerażony.

W tym czasie, kiedy byłem w siedzibie PSL, o incydencie dowiedzieli się korespondenci zagraniczni i przybyli do drukarni robić zdjęcia i notatki.

Ponieważ Stanisław Mikołajczyk był wtedy na posiedzeniu rządu, które przeciągało się do godzin wieczornych – Kazimierz Banach natychmiast połączył się z nim telefonicznie, a następnie oddał mi słuchawkę, żebym zrelacjonowała przebieg napaści na drukarnię. Mikołajczyk co pewien czas przerywał rozmowę, powtarzając niektóre zdania siedzącemu obok premierowi Osóbce Morawskiemu. Usłyszałam nawet jego głos: „to jest sprawa niedopuszczalna”.

Przerażeni napadem pracownicy nie opuszczali drukarni, czekając na mój powrót. Tym samym samochodem odwieziono mnie z powrotem, byśmy mogli całą grupą udać się do domu.

Wieczorem o godz. 22.00 radio BBC z Londynu podało pierwszą wiadomość, mniej więcej takiej treści: „Wolne wybory w Polsce. Dziś w sercu Warszawy przy ulicy Pańskiej 98, w drukarni braci Trzaskalskich, gdzie drukowano numerki wyborcze dla PSL – grupa uzbrojonych ludzi napadła na lokal drukarni, który został zdemolowany i ograbiony”.

Po kilku dniach zostałam wezwana na przesłuchanie na ulicę Cyryla i Metodego. Udawałam się tam z wielkim strachem. Matka moja czekała zdenerwowana przed budynkiem Urzędu Bezpieczeństwa. Wspólnicy, bracia Trzaskalscy, byli w tym czasie poza Warszawą. Przesłuchiwało mnie kilka osób, którym przewodniczył oficer w stopniu pułkownika, słabo mówiący po polsku o ryśach niestowiańskich. Sugerowano mi, że to ja chcę nadać posmak skandalu i kompromitować czynniki partyjne i rządowe. W końcu pułkownik zadał prowokacyjne pytanie: Pani uważa, że to zrobili ludzie z PPR? Odpowiedź moja brzmiała: „Cynniki partyjne nigdy by się nie posługiwały takimi metodami. O PPR mam lepsze zdanie. To zrobili pospolici bandyci”. Widziałam, jak siedzący za stołem oficerowie spojrzeli po sobie. Powiedziano mi, że postarają się wykryć sprawców. To ostatnie zdanie podbudowało mnie na duchu. Już nie myślałam wtedy o złapaniu ich i sądzeniu – najważniejsze, że mnie nie aresztowano”.

Na tym nie koniec wizyt na ul. Cyryla i Metodego. Znane było wtedy powiedzenie: „Cyryl jak Cyryl – ale te metody”. Samo wezwanie do stawienia się w tej katowni napawało strachem – czy w tych komnatach więziennych i za murami więzienia na ul. Mińskiej nie zostanie się na lata, a może do końca życia? Bo wtedy na tzw. „zaplutyh karłów reakcji” – akowców często

zapadały wyroki śmierci albo też bez wyroków sądowych mordowano ludzi – później taką katownią było więzienie na ul. Rakowieckiej. Przesłuchania dla Krysi były koszmarem. Stosowano wobec niej szantaż, namawiając do współpracy i donoszenia na innych. Krysia stanowczo odmówiła i pomyślała sobie, że przeszła już jedną ciemną drogę z Warszawy przez lasy włoszczowskie i powrót do Warszawy – i teraz musi przetrwać tę nową drogę może jeszcze bardziej ciemną, bo zdawałoby się, że w wolnej Polsce.

Krysia próbowała dostać się na studia prawnicze na uniwersytecie – ale nie było to możliwe. Tam już znajdowały się „wilcze listy” osób, które kandydowały na studia. Podobnie było na innych uczelniach aż do 1956 r.

Krysia chwyciła się różnych prac. Prowadziła pracownię krawiecką na ul. Zielnej. Tam również ją nachodziło UB i Milicja Obywatelska. Znów przesłuchania – tym razem w Pałacu Mostowskich – częste rewizje w domu przy okazji ginęły jej różne cenniejsze przedmioty, ale strach było upominać się o zwrot.

Dopiero po kolejnych amnestiach i tzw. „odwilży Gomułkowskiej” mogła się czuć swobodniej. Przez szereg lat była wybierana na prezesa Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej „Kolektyw” na Saskiej Kępie. Za jej „prezesowania” spółdzielnia miała duże osiągnięcia i same pochwały od władz zwierzchnich i miejskich. Mimo to ubowcy szukali pretekstu, aby ją aresztować, ale im się nie udało.

W latach 60. ukończyła kurs w NOT (Naczelnej Organizacji Technicznej) w zakresie inżynierii ogrodnictwa. Wybudowała najnowocześniejsze na ówczesne czasy szklarnie z zastosowaniem elektronicznych urządzeń. Rozpoczęła produkcję kwiatów na węglu brunatnym, uzyskując wspaniałe wyniki produkcyjne. Prawie wszystkie kwiaty szły pod szyldem „Hortex” na eksport. Do jej zakładu przyjeżdżali uczeni i studenci z SGGW, a nawet specjaliści z Holandii i Japonii. Niestety, nie trwało to długo – znacznie wzrosły ceny energii, robocizny, no i przede wszystkim podatki od tzw. „specjalnych upraw”. Ten wzorowy zakład, jak wiele podobnych w całej Polsce, został zlikwidowany. Stracili właściciele – straciło państwo. To były początki marszu do zapaści systemu komunistycznego i kryzysu gospodarczego.

Krysia przeszła na rentę. W roku 1978, kiedy dowiedziała się, że papieżem został Polak – Karol Wojtyła – Jan Paweł II – krzyknęła z radości: „To już koniec światowego komunizmu”.

Upłynęło trochę czasu aż w roku 1990 Polska odzyskała prawdziwą niepodległość. Krysia poczuła się w pełni wolna. Cieszyła się z pozycji swojego męża Sekretarza Stanu – chociaż myślami stale wracała do tych ciemnych dróg, które przebyła i które znacznie odbiły się na jej zdrowiu. Ze względu na swoje wybitne zdolności, inteligencję i pozycję cieszyła się dużym uznaniem wśród polityków i dyplomatów.

Niestety, nękana chorobami odeszła przedwcześnie na „wieczną wartę”, żegnana z honorami przez kapelanów ewangelickich i katolickich na czele z Biskupem Polowym Wojska Polskiego, wojskowych z szefem Sztabu Generalnego,

kombatantów i dyplomatów. Wśród depesz i listów kondolencyjnych był również list od prezydenta Geoga Busha:

Dear Ziggy, I was so very sorry to hear about Krystyna. I know how devastated you must be, but I hope it helps just a little to know that we Bushes are thinking of you.

*Take care of yourself. Barbara joins me in sending best wishes. Sincerely,
George Bush*

* * *

Takich przykładów patriotyzmu polskiego wśród rodzin pochodzenia niemieckiego było i jest w Polsce wiele. Oba narody powinny wyciągnąć wnioski z przeszłości i teraźniejszości, aby między nami nie było wojny a ścisła współpraca i przyjaźń dla dobra budowy Wspólnej Europy.